

*W dwa tysiące czwartym roku, słynący z umieszczenia papieża pod meteorytem, Maurico Catellana powiesił na mediolańskim drzewie trzech bardzo realistycznie wykonanych chłopców. Ludzie, którzy jako pierwsi zobaczyli rzeźbę, rzucili się odciąć chłopców, czym dowiedli swojego człowieczeństwa.*

\*\*\*

My znaleźliśmy pierwszego - w sierpniu. Wrzesień za bardzo nas absorbował, w październiku było dwóch, potem jeden w listopadzie. Grudzień był śnieżny. Pod koniec stycznia przyszła lekka odwilż i istny wysyp: pięciu tylko między dwudziestym, a dwudziestym ósmym. Potem śnieg znów zabielił wszystkie rany. Ostatni był w maju. Było ich dziesięciu i nie został żaden.

To było naprawdę piękne miejsce. Wczesną wiosną połacie skarpy pokrywały miliony fioletowych kwiatów, a drzewa, które nie zieleniły się jeszcze, wypuszczały tłuste pączki liści. Brzegi płynącej nisko w dolinie rzeki, porastała młoda, intensywnie zielona trawa. W tej rzece, odbijało się niebo. Latem traciło się tu poczucie rzeczywistości. To był baśniowy, zaczarowany las, jak obrazek wyrwany z książki. Tutaj nawet bluszcz, z wystudiowaną gracją, wił się po pniach drzew i pewnie dlatego zawsze myślałam, że tak wyglądała Narnia. I chociaż latem, korony klonów, buków i dębów przykrywały horyzont, to słońce przebijające się uporczywie przez liście, pozwalało wierzyć, że świat jest nieskończony.

Tego pierwszego długo obserwowaliśmy w milczeniu. Nikt się nie ruszał, a atmosfera była trochę taka jakbyśmy strasznie przegięli pałę. Nabroili i te sprawy. Jakbyśmy go sami wpakowali na to drzewo i powiesili. Staliśmy tak i czekaliśmy aż ktoś się przyzna. Milczenie gęstniało w końcu Karol przyniósł

wszystkim ulgę i wziął to na siebie. Zawsze tak miał, że pierwszy pękał pod ciężarem atmosfery i do wszystkiego się przyznawał. Potem zbierał za nas cięgi, a my mu kupowaliśmy chipsy, wszyscy byli zadowoleni. Taki był z niego kozak.

– Dobra zbieramy się stąd – tak powiedział Karol. Jednak jeszcze chwilę postaliśmy, bo trzeba przyznać, że pierwszy raz wbija w ziemię. Człowiek stoi i patrzy i za nic nie jest w stanie powiedzieć, co właściwie widzi. Kiedy dyskutowaliśmy całą sprawę, okazało się, że faktycznie to każdy, coś tam innego oglądał. Ja, dajmy na to, nie pamiętałam żadnej makabry, tylko załamanie w rzeczywistości. Jest ładny spokojny las, jest ładny spokojny dzień, biało-czarny piaseczek, ptaki śpiewają, gadamy o jakiś głupotach i nagle ktoś dynda trzy metry nad ziemią i zwyczajnie nie mieści się w całym pejzażu. Nie mam szczególnego wyczulenia na harmonię istnienia, ale śmierć zdecydowanie ją wyklucza. Chłopcy jakoś bardziej w szczególności oglądali całą sprawę, że siny, że dziwnie pachniał, że jakby trochę oddychał. Za to Paulina od siebie dodała całą historię i poczuliśmy się winni.

– On się na pewno powiesił, chwilę przed tym jak przyszliśmy – Powiedziała z właściwą sobie nutą sensacji w głosie. – Bo patrzcie, rano dużo ludzi tędy przechodzi, potem był w pracy, musiał dojechać, jak jedliśmy obiad. Jak szliśmy to kombinował z tym sznurem, to jednak ciężko samemu tak wymanewrować.

– Powiesił się na sznurze od huśtawki. – W całą historię z upiorną powagą wtrącił się Tomek, który szybko łączył fakty i ostatecznie nas pogrążył. Ale ja huśtawki nie wieszałam, więc poczułam moralny luz. W sumie to nawet za wiele z niej nie korzystałam, bo w czasach jej świetności miałam zagipsowaną nogę. Jednak solidarnie popadłam w pośepność.

– Wiecie, że sznur wisielca przynosi szczęście? – Znów ta nuta sensacji. Nie wiedzieliśmy, bo nikt nie był tak obcykany w przesądach jak Paulina. Nie potrzebowaliśmy też tak wiele szczęścia jak ona, gdyż nikt z nas nie chciał zostać żoną Keanu Reeves'a. Znaczący ja później chciałam, jednak wtedy nieszczególnie.

Żeby być precyzyjną, miłość rysowała mi się jako sprawa beznadziejna. Po pierwsze, już się nie raz całowałam i szalu nie było, a po drugie wszystko wcześniej sprawdziłam na Barbie i Kenie. Wysłałam ich na randkę w różowym kabriolecie, potem się całowali, to było jakieś niedostatnie i zupełnie od czapki, więc ich rozebrałam, bo mi się wydawało, że to jakoś zmieni obraz całowania, stawiałam ich naprzeciw sobie i wbrew sobie w różnych pozycjach i nie znalazłam w tym nic, co by dowiodło siły miłości, którą sobie między nimi wyobraziłam. Wreszcie w akcie desperacji doprowadziłam Kena do zjedzenia Barbie, co wiązało się z wyjęciem jej kończyn i upchnięciem w bagażniku kabrioletu. Potem Ken załamał się psychicznie i skoczył w przepaść z fotela w salonie na podłogę. Rozbił się i został przeze mnie porzucony na pastwę losu i czasu. Doprawdy nie wiem gdzie dzisiaj przebywa. Całe to doświadczenie mnie zgłębiło i na dłuższy czas odsunęłam od siebie wszelkie wizje romansu.

Sprawa wisielca wymagała jednak jakiegoś rozwiązania. I jak słusznie zauważył Tomek, który oglądał Herkulesa, na piasku było widać ślady naszych butów. Inna sprawa, że zawsze były tam ślady naszych butów. Rozważaliśmy zostawienie go na pastwę spacerowiczów, albo pana Witkowskiego, który uczył wychowania fizycznego i biegał wieczorem po lesie, żeby móc nam powiedzieć „Spójrzcie na mnie”, albo „Bierzcie ze mnie przykład”. Pan Witkowski był bardzo sprawny jak na starszego człowieka, często spacerował na rękach z przyczepionymi do nóg ciężarkami. Kiedyś jak chłopacy grali w piłkę, a on tak się przechadzał, to niechcący podciął mu ręce i Witkowski spadł jak długi na jeden bok. Pewnie się poturbował odrobinę, ale nikt nie wie dokładnie, bo wszyscy od razu uciekli. W każdym razie pan Witkowski bez problemu wślzby na to drzewo i odciął gościa, może zdążyłby nawet zeskoczyć i złapać trupa w locie, zanim ten, rozbiłby się o ziemię.

– Dobra ja się tym zajmę – Powiedział Karol i nikogo tym nie zdziwił. – Pójdę powiedzieć mojej babci. – Wszyscy współczuliśmy babci Karola, bo nie dość, że sama go wychowywała, to przez tą jego odpowiedzialność ciągle miała problemy.

– Pójdę z tobą! – Włączyła się Paulina, co też nas nie zdziwiło, bo niby czemu miałyby przepuścić okazję na bycie w centrum uwagi.

– No to ustalone – dodał Karol i bez słów uzgodniliśmy, że ja i reszta nie chcemy być w sprawę wmieszani.

Tomek musiał iść do domu, bo jego mama miała wielu synów i wprowadzała rygor. Zostałam sama z Piotrkim i Marcinem, którzy nic nie mówili. Piotrek nigdy nic nie mówił, a Marcin zawsze był błądy, także trudno było stwierdzić, czy jakoś przeżywają całą historię. W obliczu ich milczenia pożegnałam się i wróciłam do domu.

Kiedy rano wstałam, wszyscy już szeptali między sobą o „tragedii”, bo pan Zaręba otwierał kiosk z gazetami o piątej i wieści szybko się roznosiły. Jak weszłam do kuchni zapadło milczenie, a moja rodzina zaczęła wymieniać między sobą spojrzenia: „czy-nie-jest-za-mała- żeby-jej-powiedzieć” W końcu mój tata który miał najmniej skrupułów, a do tego bardzo lubił ploteczki, wprost zapytał, czy coś słyszałam o tym, że jakiś człowiek powiesił się w lesie i że Paulina go znalazła. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że nie tylko Paulina tam była, a niezgodnie z prawdą przemilczałam swoją obecność. Następnie w zgodzie z prawdą wytłumaczyłam, że byłam z Piotrkim, Marcinem i Tomkiem, cały wieczór, kłamiąc milczeniem na temat obecności Pauliny i Karola. Zawsze kłamałam na temat obecności Karola, bo wszyscy wiedzieli, że jest strasznym chuliganem.

Dzień był koszmarnie upalny więc spędziłam go z moją ciężarną siostrą, przed wentylatorem. Na obiad zrobiła kotlety sojowe więc, żeby nie musieć ich jeść i nie robić jej przykrości, powiedziałam, że ja też znalazłam tego wisielca.

– W sumie to miał wczoraj idealny dzień na śmierć. – Powiedziała, a ja uznałam, że jest to bardzo mądra i dorosła opinia. Później powtórzyłam to wszystkim, ale udawałam, że sama to wymyśliłam. Sądzę, że uznali mnie za bardzo mądrą i dojrzałą.

– Siostra mojej koleżanki ze studiów też się powiesiła. – Pokiwałam głową, ponieważ nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Zadzwoiła do tej mojej koleżanki, żeby przyjechała do niej do domu. Jak przyjechała, to jej siostra już wchodziła na stołek. No i ta koleżanka ją ściągnęła ze stołka i pobiegła zadzwonić do rodziców, żeby przyjechali. Musiała pobeć do budki telefonicznej. Jak wróciła, to jej siostra już wisiała. Chyba nie powinna jej była zostawiać.

– Dlaczego zadzwoniła do tej siostry? – Zapytałam, bo wydawało mi się to zupełnie bez sensu. Nasz wisielec do nikogo nie dzwonił, właściwie polazł do lasu, więc wolał się nie afiszować.

– Wiesz, mówili o tej dziewczynie, tej która się powiesiła, że była absolutnie dobra. Wszyscy tak opowiadali, jak o jakimś aniele. Była zbyt dobra żeby żyć. I może w tym ostatnim momencie chciała komuś zrobić coś złego. Wybrała Karolinę, to ta koleżanka ze studiów, bo wiedziała, że to zniesie. Taką mam teorię. Albo po prostu chciała, żeby ktoś jej pomógł. Może nie chciała tego robić.

– Ja bym ci nigdy nie zrobiła takiego świństwa. – Powiedziałam i przytuliłam się do jej wielkiego brzucha.

– Ty nie jesteś szczególnie dobra. – Odpowiedziała, odsuwając mnie od siebie, bo nie przepadała za przytulankami.

– Jesteś bardzo gruba. Schudniesz, jak urodzisz dziecko, czy zawsze będziesz gruba?

– Nie wiem, może już będę tylko większa i większa, aż w końcu tata będzie musiał nam zrobić ze schodów zjeżdżalnię, żebyśmy mogła dostać się do kuchni.

– Albo kupimy rynnę, zamontujemy ją na dachu i będziemy ci po niej zsuwać jedzenie. – Uśmiechnęła się, wstała i zaczęła robić jajecnicę.

– Nie smakują ci moje kotlety sojowe, co? – Miałam w sobie bardzo dużo wdzięczności dla mojej grubej siostry i dlatego postanowiłam powiedzieć:

– Są obrzydliwe.

\*\*\*

Jakoś długo tam nie wracaliśmy. Paulina mówiła, że była sprawdzić, czy został sznur, ale jej nie wierzyłam. Pod koniec sierpnia sprawa się odleżała i zaczęliśmy już bywać regularnie.

Piotrek poprosił swojego brata, żeby nam pomógł założyć huśtawkę. Chcieliśmy tam mieć prawdziwą

huśtawkę na dwa sznurki, a nie tylko kawałek badyła na długiej linie. Żle się nam to kojarzyło. Sprawa była dość skomplikowana i wymagała matematyki. Ponieważ to nasze drzewo rosło na ogromnej polodowcowej skarpie o dużej pochyłości. Większość jego korzeni wystawało spod ziemi tworząc pod spodem ogromną jaskinię. Różni ludzie zostawiali w niej swoje podpisy, a najstarszy z nich głosił „B+J 1936”. O dziwo nikt nie upamiętnił naszego wisielca.

Wracając do huśtawki, trudność polegała nie tylko na tym, żeby się wczołgać odpowiednio wysoko po jednym z poziomych konarów, trzeba było tak wymierzyć liny, żeby móc huśtać się w poziomie, a nie w pochyleniu. Do tego liny musiały być dość długie, żebyśmy byli w stanie wskoczyć na huśtawkę, a jednocześnie odpowiednio, żebyśmy mogli odbijać się nogami od okolicznych drzew.

Zawisała z końcem września. W październiku ciągle mieliśmy tłumy, bo wszyscy uważali, że to jest huśtawka publiczna. Wtedy powiesiły się też dwie kobiety, ale to nie my je znaleźliśmy. Od połowy miesiąca mieliśmy z resztą zakaz chodzenia do lasu, bo grasował w nim jakiś morderca. Z tymi kobietami, to mówiło się, że on je powiesił, bo trudno sobie było wyobrazić, żeby miały siłę zrobić to same. Poza tym wiadomo było, że kobiety są matkami i nie mają czasu na popełnianie samobójstw.

Nawet kiedy złapali bandytę i okazało się, że owszem to on mordował, że zabił trzy nastolatki i że nie powiesił tych dwóch pań, nikt nie dawał temu wiary. No może sąd, ale nie miejscowi. Kobiety się nie wieszają. Ja już wiedziałam od mojej siostry, że owszem, wieszają się, a także zachodzą w ciążę bez ślubu. Była prawdziwą skarbnicą wiedzy. Moi rodzice utrzymywali po prostu, że ludzie są zdolni do wszystkiego i do tej opinii także się przywiązałam.

Najokrutniejszym miesiącem okazał się styczeń. Skarpa na której rosło drzewo została rozdeptana dziesiątkami butów. Tych którzy przychodzili zakończyć swoje sprawy i tych, którzy musieli uporać się z konsekwencjami tych radykalnych posunięć. Krajobraz był chłodny i nie budził nadziei. Z wysokości, przez bezlistne drzewa, widać było rzekę, w której nie odbijało się światło, przez co wyglądała jak matowa smuga szarej farby, resztki śniegu, błoto zalegające przy jej brzegach, trupie lasy spowite dymem palonego węgla i mgłą. Horyzont rozmywał się i zaciemniał, słońce nie dodawało otuchy. W tym zimnie i chlupocie śniegowego błota, przyjemne było jedynie powietrze. Tu w lesie zima mieszała się z jesienią, mokre liście szronił chłód. Wciąż można było zachłusnąć się tlenem. Chociaż świat faktycznie nie był

uroczy i zapewne łatwiej było go porzucić.

Ktoś przybił kartkę w jamie pod korzeniami drzewa. Było tam napisane: „Nie musisz tego robić! Istnieje lepsze wyjście”, a także parę innych zdań, które spłynęły z deszczem. Być może były to propozycje ciekawszych wyborów życiowych. Ludzie przynosili znicze, dusili rośliny sztucznymi kwiatami i przybijali do drzewa krzyże. Nasz plac zabaw zamienił się w cmentarz. Tej wiosny konwalie nie rozwinęły kwiatów, tylko gdzieniegdzie zieleniły się smętne kępki ich liści.

Wisielcy zabrali nam nasze miejsce do życia, a potem, ci wszyscy ludzie dobrej woli, zabrali im miejsce do umierania. Salomonowy wyrok, triumf ponurej sprawiedliwości: ty dostaniesz głowę, ty nóżki. Kawałek świata stał się ziemią niczyją.

\*\*\*

Na początku kwietnia obchodziłam dziesiąte urodziny. Ojciec dziecka mojej siostry zrobił mi piękną chorągiewkę do wbicia w tort, było na niej napisane „Niepospolita dekada”. Nie wiedziałam wówczas, co znaczy „dekada”, zrozumiałam jednak, że autor prezentu bardzo mnie kocha. Niedługo po urodzinach moja siostra, jej mały synek i chłopak wyprowadzili się do własnego mieszkania, czym kompletnie zdruzgotali moje serce.

Przesiadywałam u nich całymi dniami i nawet podobało mi się to mieszkanie w którym nie było mebli, tylko wieżowce, zalegających na podłodze książek. Z łatwością mogłam ukrywać się za stertami i czytać to, co słusznie (Pamiętniki Laury Palmer), lub niesłusznie (Księżniczka Angina) było przede mną ukryte. Czasami nawet nie wiedzieli, że wciąż u nich jestem i całowali się i obłapiali, a później, kiedy wyskakiwałam z głośnym „łaaa mam was” krzyczeli i kazali mi wracać do domu.

Nie mogłam wrócić do domu, zawsze czekałam aż przyjedzie po mnie tata, czasem prosiłam go żeby nie przyjeżdżał. Dla mnie w tamtym czasie mieszkanie w bloku, było czymś zupełnie abstrakcyjnym. Z szeroko otwartymi ustami penetrowałam osiedlowe życie, nigdy dotąd nie znałam nikogo, kto żyłby w ten sposób

Dziwiły mnie zapachy cudzych obiadów, odgłosy innych rodzin, niewyraźne szepty i krzyki, dobiegające zza drzwi, których nie mogłam otworzyć, nawet jeżeli nie były zamknięte na klucz. Te wszystkie rzeczy

wyrzucone na klatkę schodową: buty, rowery, parasole. Wieczorami przy zgaszonym świetle siadywałam na schodach, słuchałam i czułam się jak w zamczysku pełnym duchów.

Moja siostra mówiła mi czasem, żebym poszła się pobawić na placu zabaw i kogoś poznała. Place zabaw były całkiem w porządku na jeden, dwa razy. Potem stawały się nudne, a dzieciaki tutaj musiały zawsze pytać rodziców, czy mogą pójść gdzieś indziej. Ci rodzice zazwyczaj domagali się szczegółowych wyjaśnień, wyznaczali obszary i terminy, mówili: „Bądź tak, żebym cię widział.” To magiczne zdanie sprawiało, że wszystko stawało się potwornie nudne. Jednak musiałam się zaprzyjaźnić, nie chciałam wyglądać na odludka. Spełniałam obowiązek krótkiej zabawy z innymi, by uwolniona od ich towarzystwa, wrócić na własne ścieżki. Jedna z nich prowadziła na balkon, kolejny fascynujący element mieszkalnictwa zorganizowanego. Zrzucałam z niego różne rzeczy, przywiązane do sznurka zapalniczki zsuwałam do sąsiada poniżej. Obserwowałam sroki, które przynosiły orzechy na skrzyżowanie dróg i czekały, aż jakiś nadjeżdżający samochód zmiażdży ich skorupkę. Niektóre z nich, wyraźnie znudzone wlatywały na dachy samochodów i odjeżdżały. Doprawdy nie wiem, czy potem wracały. Dowiedziałam się, że nawet ptaki nie są wolne od zmian.

O ile miejskie sroki cechowała nadzwyczajna inteligencja o tyle koty zdawały się istnieć wbrew własnej naturze. Podmiejskie koty, z którymi obcowałam dotychczas, były zarozumiałe, dumne i pewne siebie. Chodziły dokąd chciały, otwierały sobie drzwi do kuchni i w swój pogardliwy sposób żądały jedzenia, pieszczot, albo jedynie manifestowały własną obecność. Nasycone, odchodziły by rządzić lub wygrzewać się na słońcu. Miejskie koty były dziwaczne i niezrozumiałe. Powolutku, strachliwie, zbliżały się do mnie by uciec w popłochu przy najmniejszym szmerze, czy gwałtowniejszym poruszeniu. Chwytały jedzenie w pośpiechu, jakby czyhała na nie pułapka, jakby nieustannie spodziewały się ciosu. Dowiedziałam się, że nawet koty nie są wolne od zmian.

Miejscem, którego najdłużej nie odwiedzałam była piwnica. Istniało kilka powodów, jednym z nich chociaż nie najważniejszym był fakt, że musiałam zdobyć do niej klucz, co wiązało się z koniecznością tłumaczenia, dokąd i dlaczego zamierzam się udać. Drugi problem stworzył jeden z chłopaków, których poznałam na osiedlu. Utrzymywał, że jego matka wyrzuciła z domu, swojego trzeciego męża, po którym nie przejęła nazwiska, a który sukcesywnie zostawia na kłamce ich mieszkania siatki z surowym mięsem i mieszka w piwnicy, a do tego jest alkoholikiem i radiologiem. Trzeci powód był decydujący, mianowicie potwornie bałam się piwnicy, labiryntu niskich, wąskich korytarzy z pobielonymi ścianami, ogromnymi rurami i niekończącymi się rzędami cel, zamykanych zbitymi z desek, prowizorycznymi drzwiami, zza których ziała ciemność.

Nienawidziłam tego lęku, ponieważ nie umiałam go rozpoznać. Nie uczono mnie strachu. Nie opowiadano mi historii o porywaczach dzieci, wycinaczach narządów, czy duchach. Nigdy nie bałam się ludzi, ponieważ zawsze mówiono mi, że jeśli się zgubię, jeśli będę potrzebować pomocy, jeśli nie będę umiała poradzić sobie sama, znajdzie się ktoś, kto mnie uratuje.

Okazało się, że nie będzie to moja siostra. Ja odczuwałam lęk, podczas gdy ona traciła powietrze. Tak powiedziała, że nie może tam oddychać. Dlatego poszłam z moim tatą. On nigdy niczego się nie bał, szedł przodem zadowolony z bycia moim bohaterem i zapalał wszystkie światła. Nie tak, żeby mnie przestraszyć, ale tak, by mnie uspokoić. Mówił: „Teraz zobacz, zapalę światło i nic się nie stanie”. Nic się nie działo. Obejrzelśmy każdy kąt, każdy zakamarek. Zaglądaliśmy przez szpary drzwi i opowiadaliśmy sobie o rzeczach, które ludzie za nimi trzymali. Wymyślaliśmy tych ludzi.

„Patrz tato to jest piwnica jakiejś dużej rodziny, mają tyle nart!”

„O tu jacyś porządni ludzie, zobacz jak wszystko poukładane równiutko” „Popatrz no córus jaki sprytny regał u nas też taki zrobimy”.

To była długa wycieczka, bo piwnice ciągnęły się pod całym blokiem, ale już się nie bałam. Gasłam za nami światła i chowałam się w ciemności.

Tak zostałam bohaterką mojej siostry. Zawsze kiedy czegoś potrzebowała, wysyłała mnie na misję, a ja radośnie wykonywałam polecenia. Ale lęk nie ustępował. Udawałam, że już się nie boję, podczas gdy nic się nie zmieniło. Schodziłam do piwnicy bardzo cichutko, zapalałam wszystkie światła, tak jak pokazywał mi tata, nigdy ich nie gasiłam. Potem przez chwilę stałam w ciszy, nasłuchując najmniejszego szmeru. I jak kot skradałam się wolniutko, do celu, by potem rzucić się w szaleńczy pęd i wrócić na powierzchnię.

Najdziwniejsze było to, że zobaczyłam ją dopiero biegnąc do wyjścia. Musiała przecież być tam kiedy zapalałam światła. Nie mogę sobie przypomnieć, czy byłam czymś zaaferowana, ani po co tam byłam. Wisiała w jednym z bocznych korytarzy, a jej stopy prawie dotykały ziemi. Dlatego przez ułamek sekundy pomyślałam, że stoi tam bardzo wysoka kobieta i czegoś szuka. To był tylko mement, a potem już wiedziałam.



Wszystko zniknęło, cały ten lęk, odszedł nie było go już nawet w postaci mglistego wspomnienia. Tak chyba jest, że kiedy wydarza się najgorsze, co może się wydarzyć zostaje tylko spróbować się z tym uporać. Wtedy naprawdę nie ma się czego bać.

Zastanawiałam się, czy jeszcze żyje. Podeszłam i dotknęłam jej szyi. Słyszałam, że ludzie martwi są zimni, ona nie miała temperatury, nic jej nie ogrzewało. Potem zobaczyłam zsiniałe dłonie na tle tych obrzydliwych białych ścian i zobaczyłam jak tymi dłońmi dotyka aksamitu, włosów kogoś kogo kocha, dłoni innego człowieka i nie mogłam opanować łez, ani tego lodowatego klucia w sercu, które czułam kiedy mój tata wyjeżdżał na kilka dni, albo kiedy wyprowadziła się moja siostra. Jej samotność, moja samotność, ta piwnica, brak powietrza, droga bez powrotu. Ogrzewałam jej dłonie, stałam trzymając ją za ręce i nawet nie próbowałam przestać płakać.

– Już z tego nie wyjdziemy wiesz, już nie możemy tego naprawić – Powiedziałam do niej cicho.

– Już zawsze tu zostaniemy, a tu naprawdę jest brzydko. I strasznie. Widziałam tu szczury. Nie boję się szczurów wiesz, boję się, że umrą moi rodzice i moja siostra i że zostanę sama. Mój wujek hoduje szczury. Dla węży. Szczury są mądre, zawsze jest ich dużo i nigdy nie są samotne.

Wszystko jej opowiedziałam i chyba trwało to bardzo długo, bo moja siostra zaczęła się martwić. Usłyszałam jak woła mnie ze schodów. I odkrzyknęłam, że jestem tutaj i już idę.

– Wiesz, – powiedziałam mojej nowej przyjaciółce – nie mogę tu przyprowadzić mojej siostry, bo ona nie może oddychać. Zostawię ci zapalone światło. Przepraszam.

Szłam bardzo wolno, ocierając rękawem twarz.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała moja siostra.

– Ja o ciebie też. – Odpowiedziałam.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Amanda Vargazz, dodano 13.12.2012 11:20

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).